Tom XVIII. Nr. 17.

11. czerwca 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Mądry Tomek.

Opowiedział Bartek Szkolarz.

Rozsądną a niezmordowaną pracą dobił się stary Marcin najpiękniejszej fortuny w całej wielkiej wsi Łodydze. Chata jego była najpiękniejszą, stodoła najpełniejszą, a krowy i konie jego budziły u wszystkich sąsiadów i gospodarzów Łodygi podziwienie i zazdrość. Do tego jeszcze mówiono że stary Marcin zakopał gdzieś w polu bardzo duży garnek z dukatami. Było w tem jak we wszystkich gadaninach ludzkich trochę prawdy a trochę kłamstwa i przesady. Stary Marcin miał wprawdzie trochę gotowizny, ale były to srebrne cwancygiery a nie złote dukaty i chował je w skrzyni okutej co stała w schludnej i przestronnéj komorze a nie gdzieś w ziemi. Wprawdzie rósł ten majątek ciągle, ale w chwili kiedy to się działo, co wam tutaj na zabawę i naukę opowiadam, nie był jeszcze tak wielkim, by za niego, jak ludzie mówili, całą wieś zakupić można było.

W jednej tylko rzeczy nie błogosławił Bóg Marcinowi. Nie doczekał się bowiem z syna swego Tomka takiej pociechy, jakiej zawsze pragnął. Byłoby to jeszcze pół biedy, gdyby prócz Tomka miał jeszcze młodszego lepszego syna, na któregoby po śmierci zdać mógł swe gospodarstwo, ale Tomek był jedynakiem a do tego wcale niepracowitym i niezgrabnym, więc martwił się stary ojciec bardzo, że po śmierci jego, cała ciężko zapracowana fortuna zmarnieje niechybnie w złych i niegospodarnych rękach.

— Nie martwijcie się tak Marcinie — pocieszali go sąsiedzi. Żona wasza jeszcze nie tak osłabiona jak wy, będzie więc po waszej daj Boże najpóźniejszej śmierci podtrzymywać gospodarstwo, a za ten czas przyjdzie może głupi Tomek do rozumu.

A muszę wam jeszcze i to powiedzieć, że dotychczas kto tylko mówił co o Tomku, zawsze dodawał „głupi“. Tak się wszyscy do tego przyzwyczaili że nawet parobcy, co z Tomkiem nawet w zgodzie żyli, mówili zawsze do niego „głupi Tomku“, za co on się wcale nie gniewał

— Ah! — odpowiadał stary Marcin na te słowa sąsiadom — kiedy dotychczas jeszcze do rozumu nie przyszedł, to trudno aby kiedyś więcej go nabrał. Żeby go choć do wojska nie wzięli. Ale rok dwudziesty już mu w oczy zagląda, tego roku jak słychać zbiera się na wojnę, to jak się zdaje pójdzie i Tomek do wojska.

I nie omylił się starowina w swych smutnych rachubach Wezwano Tomka, by się stawił pod miarę i natychmiast kazano mu jako rekrutowi ostrzedz włosy, bo Tomek, jako rosły i barczysty chłopak, podobał się lekarzowi i wszystkim co do komisyi rekrutacyjnej należą. Nawet nie pozwolono mu jeszcze bodaj kilka tygodni przy ojcu zabawić. Odszedł zaraz po kilku dniach. Napłakał się z początku stary ojciec, ale w końcu powiedział sobie po chrześcijańsku: dziej się wola Boża! zebrał ostatki swych zużytych sił i jął się napowrót do pracy około gospodarstwa, bo piękna wiosna wróżyła tego roku wielki urodzaj.

Tymczasem wojna poczęła się na dobre. Stary Marcin z bojaźnią przyjmował wszelką wiadomość o stoczonych bitwach i zawsze mówił do siebie:

— Mój mocny Boże, tam tyle kul lata, że na jednego żołnierza nieraz i 50 przypadnie. Jakżeż może mój Tomek wyjść ztamtąd?

I już miał syna za straconego, zwłaszcza gdy we wsi gadano między sobą, że z pułku, w którym Tomek służył, zaledwie kilku cało uszło, gdy pewnego dnia dostał list od syna. List opiewał trochę smutno, ale dla Marcina, który się już na daleko gorszy przypadek przygotował, był bardzo pocieszającym. Dowiedział się bowiem z niego, że syn jego żyje wprawdzie ale jest ciężko pokaleczony i leży w szpitalu. Oczekiwał go więc ojciec niecierpliwie, liczył na palcach za ile tygodni z pewnością doczekać się go może i wyszedł mu jakoś bardzo krótki czas do czekania. Ale naraz, gdy się już tylko za kilka dni z Tomkiem zobaczyć spodziewał, zaniemógł starowina ciężko i wyspowiadawszy się, umarł. Widzicie ztąd jak wątłe i niepewne są rachuby ludzi. Ludzie układają plany i zamiary, przędą z nich cieńką nić pajęczą, którą lada wietrzyk zrywa i rozrzuca.

Niebawem po śmierci ojca wrócił Tomek i objął podług woli ostatniej nieboszczyka Marcina całe ojcowskie gospodarstwo. Ale nie poznałby z was żaden teraz naszego dawnego „głupiego Tomka“. Wrócił do domu nieco z pańska ubrany, z żołnierską czapką na głowie, ale co więcej, wrócił ze skażoną mową i obyczajami skażonemi. Nie mówił już tak czysto po polsku jak wszyscy ludzie we wsi mówili, ale mięszał często gęsto niemieckie wyrazy, wstydził się trochę mieszkać pod słomianą strzechą, pod którą jego ojciec długie lata przeżył, wstydził się nawet obcować z gospodarzami, bo myślał, że jest od nich wyższym i mądrzejszym. Widząc to, wszyscy znienawidzili Tomka i niejeden mówił:

— Dobrze to się stało, że stary Marcin zamknął powieki, bo gdyby zobaczył teraz swego mądrego Tomka, toby mu ze zgryzoty serce pękło.

*

I odtąd już nikt nie nazywał Tomka po dawnemu głupim, ale każdy śmiał się i mówił o nim „mądry Tomek“.

— Mądry Tomek idzie — mówili parobcy i śmiali się między sobą.

— Patrzcie na mądrego Tomka — szeptały dziewczęta ze śmiechem pomiędzy sobą, skoro się tylko Tomek we wsi lub karczmie pokazał.

A Tomek szedł dumnie przez wieś i nie popatrzył nawet na nikogo. Mijał ludzi starszych i nie pozdrowił ich nawet czasem lub kiwnął głową z lekka i od niechcenia.

Do tego jeszcze zleniwiał Tomek w wojsku do reszty. Przez całą zimę nie wziął się do niczego. Matka stara robiła wszystko za niego, chociaż jej nieraz z osłabienia aż ręce opadały. Ona też jedna we wsi była, która jeszcze Tomka kochała i jak mogła wszędzie usprawiedliwiała. Gdy ludzie zaczęli na niego wygadywać, że z niego leniuch, nicpoń, że wpędza matkę do grobu, stara Marcinowa płakała i mówiła:

— Wy bo się kochani sąsiedzi uwzięli na mego Tomka. Wszakże dopiero co powrócił z wojny, jakżeż ma pracować zaraz po trudach wojennych i odbytej chorobie. Niechno on wypocznie a będziecie widzieli, że się weźmie rzeźwo do pracy i wynagrodzi wszystko.

A ludzie śmiali się na te słowa i machali rękami na znak, że z Tomka nigdy już nic nie będzie.

Przyszła w końcu i wiosna. Trzeba się było wziąć dobrze do pracy, bo zasób oszczędzonego zboża wyczerpnął się prawie zupełnie od śmierci Marcina w skutek zaniedbanego mocno gospodarstwa. Matka patrzała tylko na Tomka, kiedy ten wyjdzie w pole i jej w gospodarstwie pomoże, aż ten się do niej raz tak skażonym polskim językiem odezwał.

— Moja *Mutter* (co znaczy matko) ja widzę że z tego waszego gospodarstwa *nichts* (nic) nie będzie. Był ci ja w Italii (we Włoszech) i w Węgrzech, widziałem wiele rzeczy, ale tak głupiego gospodarstwa nigdzie nie widziałem. Czy to warta pracować tak ciężko około tego taniego żyta lub owsa. To głupstwo pani *Mutter*. Wasza *Arbeit* (robota) nigdy wam się nie opłaci. Posłuchajcie mnie a ja wam dam doskonałą radę. Ska-

rzycie się że nasza rola koło potoka bardzo zła i często bywa zamulona. *Mein Herr Gott* (mój panie Boże), czy na to nie ma rady? Siejmy na niej ryż. W Italii rośnie to drogie zboże na samych moczarach i bagniskach. Tam ono wprawdzie takie tanie, jak u nas żyto, ale tutaj za to możemy ogromnie zarobić. Niech się nam tylko trochę urodzi a weźmiemy bardzo dużo *Geld* (pieniędzy).

Usłuchała Marcinowa, cóżbo miała robić? Syna niepodobna było przekonać, a był na nieszczęście jedynym spadkobiorcą całego dostatku Marcinowego.

Tomek wyciągnął zaraz na drugi dzień z komory część tych pieniędzy, które ojciec tak skrzętnie zbierał, poszedł do miasta i kupił ryżu na nasienie. Było tego bardzo mało, ryż bowiem jak zapewne wiecie sprowadzają aż z Włoch, jest on więc jak na nasienie bardzo drogi. Tomek udał się zaraz z nasieniem w pole i począł siać. Ale ta część roli, która do potoku przypierała, obejmowała spory kawałek ziemi. Tomek mógł więc tylko małą cząstkę pola zasiać. Cóż to robić? Tomek począł się już kłopotać, i byłby się już może dał namówić, żeby resztę pola zasiać żytem i pszenicą, ale przypomniał sobie, że w skrzyni jest jeszcze dużo cwancygierów. Wyciągnął znowu ztamtąd pełną garść pieniędzy, kupił ryżu i tym razem siał tak rzadko że obsiał jakoś całe pole.

— No, pani *Mutter* — rzekł potem wieczorem do matki — czeka nas bardzo wielki zarobek. Reszta pola niech leży odłogiem, co na ryżu zarobimy, to pokryje wszelką inną szkodę.

Ale Marcinowa zasmuciła się bardzo, bo przeczuwała, że z tego nic nie będzie. Ona tymczasem zasiała resztę pola żytem i pszenicą tak, że Tomek nawet tego nie dostrzegł, bo chciała się koniecznie chleba swego doczekać.

Od czasu tego zasiewu stał się Tomek dumniejszym niż dotąd i miał wprawdzie do tego powody. Skoro bowiem Tomek w polu się okazał, o niczem innem nie mówiono we wsi tylko o nim i o tem nieznanem nasieniu. Parobcy wszyscy patrzali na niego z uszanowaniem i podziwieniem.

— Tomek sieje ryż — mówił jeden.

— Patrzaj na niego — odpowiadał drugi. — A jakże wygląda to nasienie?

— Białe jak śnieg, a jak mówią ludzie droższe od srebra.

— No to on bardzo dobrze na tem wyjdzie. — A mówili wszyscy: jaki to głupi ten Tomek... a on tymczasem taki nie głupi, ba, najmądrzejszy może w całej gromadzie.

I nie jeden parobek wybiegał potajemnie ze wsi i biegł na pole Tomka by się mu bodaj zdala z za krzaków przypatrzyć, bo spodziewał się tam dziwa ujrzeć.

Tylko starsi we wsi gospodarze nazywali Tomka jak zawsze głupim, kiwali niechętnie głowami i mówili:

— At zachciwa się Tomkowi państwa, ale nic z tego nie będzie.

Ale nie dość na tem, Tomek zawołał raz matkę, a wskazawszy palcem na prosty ale silny wóz ojcowski, rzekł:

— Moja *Mutter*, do czego mamy to rupiecie w domu trzymać? Do gospodarstwa mamy obszerny wóz w stodole a te dwa, któremi nieboszczyk ojciec do kościoła i do miasta jeździł, sprzedamy i kupimy inny, jakiś piękniejszy i podobniejszy do ludzkiej bryczki. Wszak to człowiek jeździł nieraz *Eizenbanem* (koleją żelazną) na *polstrach* (poduszkach), jakżeż bym mógł więc teraz znosić takie niewygody. Matka, która była sobie bardzo potulną kobieciną przyzwoliła w końcu i na to, bo nie mogła jakoś sprzeciwić się zamiarom swego syna. A Tomek zaraz nazajutrz popędził do miasta, sprzedał dwa wozy, a dołożywszy do tych pieniędzy jeszcze trochę grosza wziętego znowu z komory ojcowskiej, kupił jakiś zgrabniejszy trochę ale słaby i popsuty wózek. Przyjechawszy do domu opatrzył go dopiero lepiej i dostrzegł niejednej chyby, a że kowal we wsi umiał tylko chłopskie wozy naprawiać, więc sam pomajstrował coś koło wózka, pozwiązywał, posztukował i myślał już naprzód o tem zdziwieniu, jakie we wsi sprawi, gdy na tym pańskim wózku na targ do miasta wyjedzie; ale naraz zamyślał się jakoś bardzo.

— Ba, — pomyślał sobie — mam wózek pański, ale jakże przypiąć do niego te szkapy, które nieboszczyk ojciec do starego woza zaprzęgał?

Konie Marcina były najlepsze we wsi, ale Tomkowi nie podobały się, bo były bardzo małe, jak każde gospodarskie, i nie trzymały szyi do góry. Jemu zachciało się koni lepszej rasy, choćby nawet takich, jakie widział u ekonoma.

Tomek nie lubiał długo czekać. Do wszystkiego brał się natychmiast i to z wielkim pospiechem, tylko nie do pracy. Więc zaraz nazajutrz wybrał się do miasta z końmi i nie powiedział już nawet nic o tem matce. Tam natrafił na jakiegoś szachraja żyda, który widząc że Tomek nie znał się wcale na koniach, nie omieszkał go oszukać. Wziął też od niego dobre chłopskie konie, wziął i trochę pieniędzy w dodatku, (bo Tomek jadąc wziął z sobą resztę cwancygierów z komory) a w ich miejsce dał mu stare koniska, zjeżdżone już bardzo i z chorobami takiemi, które je zupełnie niezdatnemi do cięższej jazdy lub do gospodarstwa czyniły.

Ale swój cel osiągnął zawsze Tomek. Śmiał się teraz z każdego gospodarza, który do prostego woza zaprzęgał małe koniki swego chowu, a sam był dumniejszy niż dotąd.

— Ależ to pan się zrobił z naszego Tomka — mówił jeden parobek.

— Niedługie to państwo — odpowiadał drugi. — Jeszcze rok, dwa a zejdzie na najgorszego dziada.

— Ej! jeżeli mu ryż dobrze zrodzi, to wyjdzie taki na pana, a nie na dziada. Gotów sobie potem jaką wioskę kupić.

— Wyjdzie on na tym ryżu, jak Zabłocki na mydle. Wszak ci pszenica i żyto już het do góry poszły, a ten ryż dotąd się jeszcze z ziemi nie pokazał.

I w samej rzeczy nie było na całem polu nawet śladu zasianego ryżu. Tomek wychodził ciągle w pole, patrzał wszędzie, czy bodaj jedno ziarnko gdzie do góry nie wystrzeliło, ale daremnie. Już matka zaczęła zbierać swój zasiew, a Tomek chodził wciąż daremnie po polu i klął na czem świat stoi. Przyszły w końcu i mrozy i Tomek pomyślał sobie: kiedy już dotąd nie zeszedł to już i wcale nie zejdzie, bo zamarznie w ziemi; i przeorał cały ten kosztowny zasiew. Byłożto za to wtedy śmiechu po wsi. Parobcy ukarali go teraz za jego dumę

pośmiali się z niego, a skoro się tylko na drodze pokazał, już z daleka krzyczały dziewki i dzieci:

— Wyszedł Tomek na ryżu, jak Zabłocki na mydle.

Złościł się Tomek bardzo, ale cóż miał robić. On mówił w duchu do siebie:

— Poczekajcie do przyszłego roku. Zakpię ja wtedy z was bardziej. Ryż nie udał się tego roku, bom go siał na suchem polu, a niech no go na drugi rok zaraz po śniegu na mokrej roli posadzę, to zarobię stokrotnie i za tegoroczny zasiew.

Ale we wsi tymczasem wszyscy wiedzieli, że ryż mu się i za sto lat udać nie może.

Musicie bowiem to zapewne z książek wiedzieć, że ryż rośnie w bardzo ciepłych krajach, we Włoszech, i to na wielkich bagniskach i moczarach. U nas zaś daleko zimniej i ziemia nie tak rodzajna. Trzeba na to było takiego głupca jak Tomek, aby sobie coś podobnego ubrdać w głowie. Słyszał on, że gdzieś dzwonią, ale nie wiedział w którym kościele. Widział on ryż, ale nie wiedział gdzie on się tylko udać może.

Ale nie dość na tem.

Tomka gryzł ten śmiech na jaki się w całej wsi naraził. Myślał długo jakby to upokorzenie powetować, aż raz tak rzekł do siebie.

— Poczekajcie, będziecie wy się jeszcze gawronić, gdy ja moje *Pferde* (konie) do bryczki zaprzęgnę i niemi na przekór do kościoła pojadę, a nie pójdę piechoto.

I dotrzymał słowa. W Niedzielę zaprzęgnął konie do bryczki, a że matka nie chciała z nim jechać i poszła piechotą, więc siadł sam i zaciął dumnie konie.

Ale droga do kościoła była bardzo zła, a do tego podczas jesieni nagromadziło się na niej tyle błota, że trudno było wygrząść z tych jam i przebojów. Konie Tomka nieprzyzwyczajone do takich wertepów ugrzęzły w błocie i zacięły się tak, że niepodobna było dalej ruszyć. Tomek przeklinał na czem świat stoi, bo wstydno mu było znowu i zaczął bić tak mocno konie, że aż dęba stanęły i połamawszy wózek, w czwał przez pole pognały. Tomek leżał w błocie a koło niego połamana

zupełnie bryczka. Wszyscy obstąpili go do koła i wszczął się śmiech w całem gronie.

— Patrz no „mądry Tomku“ jakie tu błoto, tu mógłby się ryż udać.

— Cha, cha, cha! — zawtórowały wrzaskliwie tym krzykom dziewczęta.

A sędziwi gospodarze kiwali głową i mówili między sobą:

— Tak to Bóg pokarał formalnie tę dumę i odstępstwo od zwyczajów ojcowskich.

Tomek czemprędzej wyskoczył z połamanego wózka i pobiegł do domu. Tu zaczął wszystkie rzeczy zbierać i gotować się do podróży.

-- A cóż ty robisz Tomku? — pytała matka.

— Idę het do Italji. Nie mam tu *nichts* robić w tym przeklętym kraju; między takimi złymi ludźmi.

Matka zaklinała, ale Tomek jakoś nie dał się nakłonić, by zaniechał wędrówki.

W tem weszło do chaty Tomkowej trzech sąsiadów. Im żal się zrobiło Tomka po tym ostatnim wypadku, więc chęć ich szczera zebrała poratować sąsiada, chociaż na nich tak bardzo z góry patrzał.

— Dość już ma nauczki — pomyśleli sobie — może się zachce poprawić, boć szkoda byłaby wielka, gdyby gospodarstwo nieboszczyka Marcina do reszty upadło. Cóżby poczęła biedna matka, której już do pracy i sił dalej nie stanie.

— Pochwalony Jezus Chrystus! — rzekli wchodząc do chaty.

— Na wieki wieków. Amen. — odpowiedziała Marcinowa; Tomek zagniewany mruknął tylko coś niechętnie pod nosem:

Sąsiedzi usiedli na ławce, a jeden z nich odezwał się w następne słowa:

— Wiemy dobrze, że po takich wydatkach wyczerpał się wasz worek. Darujcie więc pani matko i wy panie Tomku, żeśmy tu do was pospieszyli z radą i pomocą na jaką nas biednych sąsiadów stać w tej chwili. Zbiór wasz tegoroczny nie zapełnił spichrza, wystarczy wam snać zaledwie na chleb a o nowym zasiewie już ani myśleć, bo ani zboża nie macie

ani pieniędzy. Chcemy się więc z wami podzielić po sąsiedzku chlebem którego nam nie brak dzięki Bogu.

Na te słowa stanęły Marcinowej łzy w oczach, a Tomek spojrzał na sędziwego Szymona niedowierzająco i rzekł:

— Wszystko to bardzo pięknie panie sąsiedzie, ale nas nie stać na to aby wam odpłacić za wasz datek i pomoc.

— My tego nie żądamy — odpowiedział Szymon. — Pan Bóg kazał wspierać się wzajemnie. Za naszą mierną pomoc odpłacicie nam kiedyś w ten sposób, jeżeli się nam podobnie kiedyś nie poszczęści.

Tu już nie mogła się powstrzymać poczciwa Marcinowa od głośnego płaczu.

Ale i na Tomku samym uczyniła ta poczciwość wielkie wrażenie. Otwarły mu się oczy i poznał jakie głupstwa popełnił, które omal że go już do kostura żebraczego nie przywiodły. Stanął zawstydzony przed Szymonem, ucałował z rozczuleniem rękę poczciwego gospodarza i rzekł:

— Bóg świadkiem, mocno żałuję, żem się dał uwieść mej nieuwadze. Dziś chciałem się już chwycić rozpaczliwego zamiaru, ale gdzie tacy poczciwi mieszkają sąsiedzi tam człowiek i najuboższy nie zginie a najgorszy poprawić się musi. Bóg świadkiem, że od dzisiaj wezmę się do pracy, wy zaś moi zacni sąsiedzi, wspierajcie mnie waszą radą, a przy boskiej pomocy pójdzie na przyszłość lepiej.

I poprawił się też rzeczywiście do niepoznania nasz Tomek. Wziął się do pracy a przy skutecznej pomocy dobrych sąsiadów przyszedł napowrót do dawnej zamożności. Ażeby mu praca szla raźniej, poślubił najdorodniejszą dziewczynę we wsi. Odtąd wspólnie pracują na ojcowskiej zagrodzie, a stara matka patrzy wesoło na poprawę syna i błogosławi dobranej parze.

Wytrwałość.

U nas stary, u nas mały,
Zniesie mrozy i upały,
Zniesie, zniesie przez czas długi:
Burze, słoty i szarugi.

Głód, pragnienie, nas nie zgniecie,
Nie dla żartu my na świecie;
Bóg od pierwszej kazał chwili,
Byśmy mężnie złe znosili.

Od młodu nam mówią matki:
Dla was trudy, niedostatki,
Wy do pługa i do radła,
Nie do pomad i zwierciadła.

Jak stwardnieje w pracy ręka,
Od gorąca nie popęka.
Pijcie wodę a nie piwo:
To będziecie czuli żywo.

A kto czuje jak Bóg kazał,
Jeszcze zbrodnią się nie zmazał;
Precz wygódki, rzecz niemężna
Precz z serc naszych chuć pieniężna.

Naszem hasłem dobroć, cnota,
I gościnność i prostota,
Szczerość w duszy, rozum w głowie,
Bóg w pamięci, prawda w słowie.

Zatrudnienia i rozrywki domowe na wsi.

(Dokończenie.)

Nie będę wiele mówił o pracy wieczornej przy świecy albo łuczywie; szycie, cerowanie, robienie pończoch albo kaftaników wełnianych, przędza na kołowrotku albo na wrzecionie i tkanie płótna na krosnach — oto są na teraz wszystkie niewieście roboty w długich wieczorach zimowych.

Nie każda gospodyni wiejska umie robić płótno, a życzyć potrzeba, żeby wszystkie umiały. Uprawa lnu a potem przędzenie nici i tkanie płótna, są bardzo pożytecznem zatrudnieniem. Jakże pięknie i chwalebnie, kiedy gospodyni i ich córki uprzędą i utkają tyle płótna, że nie tylko wystarczy dla całej rodziny, ale jeszcze sprzedać można za kilkadziesiąt złotych. W takiem gospodarstwie jest lepsze ochędóstwo, bo wszyscy odmienią bieliznę dwa razy na tydzień, a w lecie przy ciężkiej pracy czasem i częściej; łóżka są pokryte białemi prześcieradłami, stół do jedzenia nakryty białem płótnem, albo i wyrabianym obrusem; jest ręcznik do umycia się, ścierka do czyszczenia sprzętów; jest więc ochędóstwo, zdrowie, ład i wszystko dobre, które za tem idzie.

Wiele gospodyń żałuje pieniędzy na kupno świec; są takie, które nie mają za co kupić; a że o łuczywo coraz jest trudniej. Zdarza się bardzo często, że przez listopad, grudzień, styczeń, luty, kiedy są najdłuższe wieczory, lud siedzi po omacku w chałupach, kładzie się spać i tak traci czas, którym mógł obrócić na pożyteczną robotę, coby sowicie zapłaciła za kupioną świeczkę.

Jestto zupełne zaniedbanie się a z niego wylęga się coraz gorsza bieda Ja sądzę że u nas nie brak pracy i zapłaty za nią, byleby tylko była do niej ochota. I o tem więc pamiętajcie miłe gospodynie, żebyście czy wy same, czy wasze dzieci zapracowały na świecę, przy której będziecie szyć, prząść i tkać na krosnach. Tam zaś, gdzie uprawa lnu a tem samem i tkanie płótna nie jest upowszechnione, weźcie się do niego całemi siłami a nie pożałujecie tej pracy.

Bóg wszechmogący przeznaczył człowieka na ciągłą pracę i odezwał się do Adama, pierwszego rodzica naszego, kiedy za nieposłuszeństwo wygnał go z raju: „Będziesz pracował w pocie czoła twojego“. Ale w miłosierdziu i dobroci swojej pozwolił użyć niewinnej rozrywki po pracy, żeby dla nas była zarazem wypoczynkiem i zachętą; godziwą zatem jest rzeczą, a nawet i pożyteczną, w dniach i godzinach wolnych od pracy, oddawszy cześć Bogu i podziękowawszy Mu za Jego dobrodziejstwa, zabawić się z rodziną i przyjaciołmi. Ale nieprzy-

jaciel zbawienia naszego, szatan przeklęty, czycha właśnie na te chwile rozrywki, żeby nas do złego i wiecznej zguby pociągnął. On to podwodzi do pijaństwa, kłótni, bójki, nieobyczajnych i rozpustnych wyrazów i uczynków, które waszą chudobę, zdrowie i duszę do zguby przywodzą.

Rzecz bardzo prosta że lud zbiera się w obszernej izbie karczemnej, gdzie młodzi mogą potańczyć z sobą a starsi zabawić się rozmową; ale czas wielki, żeby te karczmy przestały być miejscem codziennej pijatyki i swarów, żeby przed zaczęciem tańców, który z was dobrze czytać umiejący, przeczytał z pisemek dla was przeznaczonych, jaką rzecz ciekawą i nauczającą. Otoż więc moi przyjaciele, jabym wam radził żebyście z pomiędzy siebie wybrali najszanowniejszych trzech albo czterech gospodarzy, którzyby z kolei w każde święto i niedzielę przestrzegali w karczmie obyczajności i porządku, nie dozwalali brzydkich piosnek, godzili kłócących się, a jeżeliby który już sobie zanadto podchmielił, takiego kazali odprowadzić do domu. Tym sposobem karczma będzie miejscem pogadanki i tańców a przestanie być siedliskiem pijaństwa i wszystkiego złego, które za niem idzie.

Wieczorami w domach waszych, a mianowicie tam, gdzie izby wasze są porządne, czyste i nie ciasne, można lepiej i pożyteczniej zabawić się niż w karczmie. I tam młodzież przy dzwięku skrzypców potańczy sobie i zaśpiewa a przytem można posłuchać czytania Żywotów Świętych pańskich, historyi o jakim współziomku naszym, który dobrze zasłużył się Bogu, ojczyźnie i bliźnim, albo też powiastki ciekawej i moralnej; czas więc przejdzie miło i prędko, a w sercu i w głowie zostanie wiadomość i nauka, która jak naucza przysłowie, w las nie pójdzie. Takimto sposobem wypoczywa po pracy i bawi się lud wiejski w krajach, o których już wam nieraz wspominałem. Korzystajcie zatem z gospodarności i pracowitości Slązaków, Sasów, Holsztyniaków i innych, ale poczciwość, gościnność, dobre serce polskie zachowajcie na wieki; a wtedy śmiało powiemy, bez marnej przechwałki, że nie ma na świecie ludu jak polski lud rolniczy.

Pożyteczna książeczka.

Każdy z was, kochani ludzie, przyszedł już zapewne do tego przekonania, że czytanie jest wielce pożyteczną i ważną rzeczą, bo kto czytać umie, ma się czem zająć, i nie posiedzi z założonemi rękoma w wolnym czasie, więc mu rozumu i nauki przybywa nie mało, a nadto odwodzi się od wielu nałogów, co zdrowiu i duszy jego szkodę przynoszą.

Aleć nie wszystkie książki są dla każdego przydatne. Każdy stan wymaga sobie właściwych wiadomości, a kto ich potrzebuje, ten czyta takie książki, co się do jego stanu odnoszą. Są książki, które choćbyś i rok cały czytał i czytał, to ich nie zrozumiesz; są i takie, co i torby sieczki nie wartają, a więc szkoda czasu i zachodu, aby nad niemi czas trawić daremnie. Książkę pożyteczną przeczytać — to już nie żal czasu. Wy czytajcie książki, które się do waszego stanu odnoszą — a pewnie będziecie mieć i pożytek i zabawę.

Dziś jeszcze nie każdy czyta książki i gazety, bo jeszcze jest wielu co czytać nie umią lub przeczytanego nie rozumią; dla tego radzą o polepszeniu szkół uczeni mężowie, aby się dzieci coraz więcej, lepiej i łatwiej uczyć mogły, aby przez to większe było oświecenie w kraju naszym, przez co się pewnie dola nasza podźwignie i polepszy. W wielu miejscach zakładają też gminy szkółki, a w wielu o nich i słyszeć nie chcą, bo nie wiedzą nic o szkole, czego się to w niej nauczyć można i jaki z niej pożytek dla gminy samej i dla całego kraju.

Owóż niedawnym czasem wyszła w Krakowie książeczka o 130 kilku stronnicach z takim napisem: O szkole ludowej, napisał Maciej Skoczek z Radomyśla, ten sam, co to nieraz w Dzwonku przemawiał do was i piękne spisywał nauki. Kasper Lasota, włościanin z Turbi, prosił, żeby mu Skoczek z Radomyśla różne rzeczy o szkole opisywał i napisał nawet list do niego w którym mu donosi, że gmina w Turbi chce założyć szkołę dla siebie, a nie wie jak sobie z tą sprawą ma postąpić, bo pragnie, żeby i szkoła była dobra i kierownik jej jak należy.

Skoczek z Radomyśla odpisuje tedy Kasprowi do Turbi od czasu do czasu i bardzo pięknie ustępami rzecz mu tłumaczy.

Podajemy wam tu umyślnie napisy każdego ustępu, abyście się przekonali jaką wartość ma owa książeczka. Owóż pisze Skoczek z Radomyśla o tych rzeczach: Czy nauka potrzebna? opisuje jaki ma być budynek szkolny, jaka pensya nauczyciela, i jak się ma odbywać wypłata onej. Objaśnia, kto może być nauczycielem, czy nauczyciel może być organistą, czy mogą dwie wioski mieć wspólną szkolę, czego się mają dzieci w szkole uczyć? a tu wymienia każdą naukę z osobna i tłómaczy ją przewybornie. Dalej pisze, jakie przybory są do nauki potrzebne, jaki ma być rozkład godzin naukowych, czy może nauczyciel codzień każdego ucznia lekcyi wysłuchać? — jak się dzieci w szkole uczą, czy trzeba dzieci regularnie do szkoły posyłać? Dowodzi, że dzieci trzeba zawczasu ze szkołą oswajać i uczy rodziców jak mają działać wspólnie z nauczycielem dla dobra swoich dzieci, jak powinna matka codzień dziecko do szkoły wysyłać. A potem znowu, czy mogą rodzice sami swoje dzieci uczyć, jakie są obowiązki rodziców a jakie gminy ku nauczycielowi, i jakie dozorcy czy opiekuna szkoły. To i wiele innych nauk zawiera ta książka, jakoto: nauczyciel w szkole, karność, nauczyciel w kościele, nauczyciel w gminie, dzieci szkolne w domu, kształcenie ciała, przymus szkolny, wpisy szkolne, wybór nauczyciela, egzamina czyli popisy, premie czyli nagrody, postęp, wakacye, świadectwa, książki dla ubogich dzieci, inwentarz szkolny, szkoła niedzielna czyli szkoła powtarzania, sługa szkolny. Nakoniec o różnych szkołach w Galicyi i Krakowie w r. 1867 i w innych krajach.

Przekonacie się więc z tego jaka to cenna i potrzebna książeczka. Każda gmina powinna ją mieć i każdy gospodarz, który dba o dobro dzieci swoich. A poznać też z tamtąd, co się wymaga od szkoły i nauczyciela i jak się z jednem i drugiem sprawiać trzeba.

Pisane jest wszystko z taką prawdą, prostotą i serdecznością, że trudno książeczkę tę odłożyć, dopóki się jej całej nie przeczyta.

Na dowód przytoczę wam jeden ustęp krótszy o wpisach szkolnych.

— Przeszłej jesieni słyszałem — pisze Skoczek z Radomyśla — taką rozmowę na ulicy:

M a r c i n o w a. Zkądże to kumeczko idziecie tak wystrojona? Czy z kościoła?

L u d w i k o w a. Ze szkoły idę.

M. To na starość dopiero do szkoły chodzicie?

L. Przecież mam chłopca, tom go zaprowadziła do wpisu, bo jutro się szkoła rozpocznie.

M. I ja tam mego posłałam, możeście go widzieli?

L. A stoi tam pod ogródkiem i płacze, bo przyszedł sam jak błędna owca, i śmiały się kobiety z niego.

M. Cóż to takiego śmiesznego? Przecież pięknie ubrany.

L. To prawda, ale tam się z czego innego śmiały. Tak było: Nauczyciel się go pytał, jak się nazywa, a on powiedział Bartoś. Dalej się go pytał, jak się nazywa ojciec, a on powiedział że Marcin Piper. Kobiety w śmiech, bo waszego choć przezywają w mieście Piprem, ale się przecież pisze Marcin Oskroba. Chłopiec mało nie zginął od wstydu, i stoi teraz pod płotem zapłakany. Idźcie go zaprowadzić.

M. Widzicie kumeczko, jabym była z nim poszła, ale tak iść z gołemi rękami, to jakoś nie pięknie, a tu jak na złość nie można się zdobyć na jaki podarunek dla nauczyciela. Czyście wy mu co zanieśli?

L. Nic! Ja biedniejsza jeszcze niż on. Bogacze mogą robić podarunki, ale my biedni mamy tylko dobre serce dla niego. Idźcie zaraz i zapiszcie waszego Bartosia.

M. A jakże tam gadać?

L. Powiedzcie numer domu, imię i nazwisko chłopca i wasze, ile chłopiec ma lat, jaki on jest w domu, czy zdrowy lub może jaki słabowity, i weźcie ze sobą 25 ct., bo to każdy daje rocznie na różne potrzeby szkolne Jeżeli dziś tych 25 centów nie macie, to zaniesiecie później, albo możecie się całkiem od tego płacenia uwolnić.

L. A na cóż się to nauczyciel pytał, czy dziecko zdrowe lub słabowite?

L. Niektóre dziecko się jąka, albo bojaźliwe, lub też broń Boże ma jaką słabość, to nauczycielowi trzeba o tem powiedzieć, żeby wiedział, jak się z takiem dzieckiem obchodzić. Na mego Florka jakby tylko raptem krzyknął, to się tak zatnie, że nic nie wie, dopiero powoli przyjdzie do siebie. Ja panu nauczycielowi wszystko powiedziałam, a on wysłuchał, pięknie pogadał, podziękował za to, żem przyszła i jeszcze jutro mi kazał przyjść do kościoła, bo i dzieci pójdą na Mszą świętą. Zresztą sam rozum radzi, żeby pójść z dzieckiem do zapisu, bo przecież trzeba prosić nauczyciela o ojcowską opiekę. Idźcież kumeczko, idźcie, a jutro się zobaczymy przed kościołem!

Kupujcie sobie kochani czytelnicy tę książeczkę pożyteczną a nie pożałujecie na nią kilkudziesięciu centów, bo tyle tylko kosztuje. *Józef z Bochni.*

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.